

STANISŁAW IGNACY
WITKIEWICZ

NIKOTYNA

ALKOHOL

KOKAINA

PEYOTL

MORFINA

ETER

+

APPENDIX

+

NIEMYTE

DUSZE

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

STANISŁAW IGNACY
WITKIEWICZ

NIKOTYNA
ALKOHOL
KOKAINA
PEYOTL
MORFINA
ETER
+
APPENDIX
+
NIEMYTE
DUSZE

STANISŁAW IGNACY
WITKIEWICZ

NIKOTYNA
ALKOHOL
KOKAINA
PEYOTL
MORFINA
ETER
+
APPENDIX
+
NIEMYTE
DUSZE

OPRACOWAŁA
ANNA MICIŃSKA

POSŁOWIE
JANUSZ DEGLER



Okladka i strony tytułowe
Justyna Niedzińska
na podstawie projektu okładki pierwszego wydania *Narkotyków*
(*Nikotyina – Alkohol – Kokaina – Peyotl – Morfina – Eter + Appendix*,
Drukarnia Towarzystwa Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa 1932)

Na tylnej stronie okładki
buteleczka po meskalinie
(*Mescaline sulfuricum, synthetic*) firmy E. Merck
należąca do S. I. Witkiewicza. Fot. Stefan Okołowicz

Tekst oparto na wydaniu: S. I. Witkiewicz, *Dzieła zebrane*. [Tom 12:]
Narkotyki. Niemyte dusze. Opracowała Anna Micińska, Warszawa 1993

Redaktor prowadzący
Kamil Piwowarski

Redaktor
Krystyna Kurmanowa

Korekta
Grażyna Mastalerz
Maria Kaniewska

© Copyright by Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2016

Polub PIW na Facebooku!
www.fb.com/panstwowyinstytutwydawniczy

ISBN 978-83-64822-72-8

NIKOTYNA – ALKOHOL –
KOKAINA – PEYOTL –
MORFINA – ETER
+
APPENDIX

Po ukazaniu się książki *Nikotyna – Alkohol – Kokaina – Peyotl – Morfina – Eter + Appendix* (Warszawa 1932) zaczęto jej niewygodny w użyciu tytuł zastępować ogólnym: *Narkotyki*. Posługiwał się nim także Witkacy. Tytuł *Narkotyki* uprawomocniła Anna Micińska, przygotowując pierwsze po wojnie wydanie książki (*Narkotyki. Niemyte dusze*, Warszawa 1975, Państwowy Instytut Wydawniczy) [przyp. wyd.].

Motto:

„Wszelako dziwne jest w tej książce materii pomieszanie”.
Henryk Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*

PRZEDMOWA

Ponieważ tzw. „swobodną twórczością”, to jest tzw. „śpiewaniem ptaszka na gałęzi”, nic dla społeczeństwa i narodu zrobić nie mogłem, postanowiłem po szeregu eksperymentów zwierzyć się ogółowi z moich poglądów na narkotyki, zaczynając od najpospolitszego: tytoniu, a kończąc na najdziwniejszym chyba peyotlu (któremu rezerwuję osobne miejsce), w celu choćby małego wspomnienia dobrych potęg w walce z tymi najstraszniejszymi, poza wojną, nędzą i chorobami, wrogami ludzkości. Może i ta praca (z powodu pewnego tonu w sformułowaniu gorzkich prawd) potraktowana będzie humorystycznie lub negatywnie, jak moja estetyka, filozofia, sztuki sceniczne, istotne portrety, dawne kompozycje itp. „swobodne wytwory”. Oświadczam oficjalnie, że piszę poważnie i chcę wreszcie coś bezpośrednio pożytecznego zdziałać, a na idiotów i ludzi nieuczciwych sposobu nie ma, jak to w ciągu mojej dość smutnej działalności miałem sposobność przekonać się. Mówi się komuś: „Jesteś głupi, ucz się, a może zmądrzejesz” – nic nie pomoże, bo człowiek głupi jest przy tym zarozumiały i to, nawet jeśli by mógł przy usilnej pracy zmądrzeć, uniemożliwia mu wybrnięcie z błędnego koła. Mówi się draniowi: „To nieładnie być taką świnią, zastanów się, popraw się” – próżne gadanie: nie rozumiemy tego, że większość draniów jest świadomie właśnie draniowata – oni wiedzą o tym i nie chcą być

innymi, o ile tylko mogą draniowatość tę dobrze zamaskować. „Czy można patykowi przebaczyć, że jest patykiem” – jak mówił Tadeusz Szymberski – i miał rację.

Byłem niegdyś „fighting manem” – człowiekiem bojowym par excellence, miałem idee i chciałem o nie walczyć – nie było gdzie i z kim. Bynajmniej nie sprzeniewierzyłem się moim ideom (Czysta Forma w malarstwie i w teatrze i reforma artystycznej krytyki), tylko przyszedłem do przekonania, że są one w każdym razie obecnie nie na czasie i że może w ogóle minął dla nich ich czas. To, co twierdziłem jeszcze przed wojną, a co wyraziłem w czwartej części książki pod tytułem *Nowe formy w malarstwie...*, że sztuka ginie, dzieje się na naszych oczach, a wobec tego, czy będzie i jaka będzie krytyka artystyczna w moim znaczeniu, to jest krytyka formalna, jest bez znaczenia. Co innego, jeśli rzecz idzie o literaturę nie jako sztukę – tam jest jeszcze coś do powiedzenia i może jeszcze się na ten temat wypowiem. Obecnie jestem stosunkowo pogodnym osobnikiem lat średnich, który o żadnych „wyczynach” w wielkim stylu już nie marzy i pragnie jako tako skończyć to życie, którego dotąd przynajmniej mimo klęsk i niepowodzeń nie żałuje. Co będzie, to będzie. Zaznaczyć tylko muszę, że „dziełko” niniejsze będzie nosić charakter wysoce osobisty, a więc niejako pośmiertny. Nie jest to megalomania i chęć zaprzątania swoją (nikomu dotąd niepotrzebną) osobą ludzi zajętych czym innym i daleko przyjemniejszym. Ale pisząc o moich osobistych przeżyciach, nie mogę pominąć siebie. W każdym razie będzie tu podana w sposób przystępny część prawdy o mnie, i to prawdy bezpośrednio dla ogółu pożytecznej.

Czymże to jest wobec potwornych plotek, które o mnie krążą. Pod tym względem w naszym już i tak wyjątkowo plotkarskim i lubiącym bawić się oszczerstwami społeczeństwie spotkało mnie, zdaje się, wyróżnienie. Mimo całego braku megalomanii, co z całą uczciwością podkreślam, mam wrażenie, że doborem bzdur i kłamstw, jakie o mnie mówiono i mówi się jeszcze, nie każdy przeciętnie znany u nas człowiek poszczycić się może.

Nie będę wchodził tu w przyczyny tego zjawiska, ale sądzę, że pewną rolą w wytworzeniu się niechęci ogólnej w stosunku do mnie była trudność w zgłębieniu mnie intelektualnym przez ludzi bez odpowiednich do tego kwalifikacji, a po wtóre, pewne niezwracanie przeze mnie uwagi na opinię publiczną, przez co czyny, które u innego przeszłyby bez zwrócenia uwagi (np. wypicie aż trzech wódek w jakimś barze), w stosunku do mnie wywoływały niekorzystne dla mnie oburzenie, nieproporcjonalne do ich wartości. Mniejsza z tym.

A więc: zaczynam pisać dziś (6 II 1930 r.) tę książkę „na P”, to znaczy w stanie palenia. Jutro, jak zwykle, przestaję palić – sądzę, że tym razem definitywnie lub na czas bardzo długi – i rozdział o nikotynie będę pisał w miarę odzwyczajania się od papierosów, przy czym jest możliwość, że w środku pisania zapalę znowu i „nie omieszkać zwierzyć się” z tego faktu przed ewentualnymi czytelnikami. Tyle razy się to zdarzało! Z nikotyną walczę już od lat dwudziestu ośmiu i mimo częstych okresów abstynencji (do kilku tygodni) nie zdołałem całkowicie jej przewyciężyć. Możliwe to jest i teraz, mimo zaczęcia niniejszej pracy. Zbliża się jednak chwila, w której staje się to koniecznym, o ile nie miałbym zrezygnować z wszelkich wyższych aspiracji w stosunku do siebie samego. Detale na ten temat później. Sądzę, że ten sposób opisu – to znaczy na NP₁¹, czyli w stanie niepalenia – będzie dość istotny, ponieważ jednocześnie pragnąc ulubionego i znieawidzonego narkotyku ostatniego chyba rzędu (niech będą przekłeci Indianie i ci, którzy to świństwo do nas zawlekli), będę mógł lepiej zanalizować ogarniające nałogowego palacza pokusy i podać sposoby ich odparcia na tle wspomnień ohydneho samopoczucia (często maskowanego przed sobą i innymi) przy powrocie do tej świńskiej, bezpłodnej i ogłupiającej trucizny. Właśnie niedawno nie paliłem aż cztery dni (a wiadomo, że drugi dzień jest najgorszy

¹ Numery przy NP oznaczają ilość dni. Tego samego markowania używam na moich rysunkach.

i że trzeciego zaczyna się poprawa) – aż tu „trach” i zapaliłem na nowo (zanalizuję mechanizm tego faktu później), i wszystko „fajt” od początku. Oczywiście nie wytrzymałem i zapaliłem dziś rano – po prostu, żeby zobaczyć, jak to tam wszystko wygląda na P. Nie żebym „znowu już tak” nie mógł wytrzymać, tylko tak sobie: jeszcze raz na świat spojrzeć z „tamtej strony” (upadku, ogłupienia, zniechęcenia itp.), a potem już definitywnie „szlus”. Tak to się tłumaczy przed sobą te historie. Nie – najgorszą rzeczą jest słabość – durchhalten – a jak, o tym napiszę w rozdziałku o nikotynie. Zapaliłem – to jest ponury fakt (kogoż to właściwie obchodzi, ale chodzi o innych, o tysiące, miliony zaczadziałych, otepiałych, sflaczałych) – i piszę dalej tę przedmowę w stanie zupełnego otumanienia. Właśnie chciałem się zająć dalej moją filozoficzną pracą (bardzo ryzykowna historia i jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie), ale okazało się to absolutnie niemożliwym: tępota, brak tego, co dr mat. Stefan Glass nazywa „igriwost’ uma”, brak możliwości jakiego takiego skupienia się. To tylko zwierzenia tymczasowe – wszystko będzie opisane z „detajlami” później. Zacząłem pisać tę przedmowę z rozpacz, nie mogąc się zabrać z powodu zatrucia nikotyną do czegoś lepszego, chcąc raz zacząć to „dziełko”, usprawiedliwić przed sobą własną swą egzystencję. Czy wszelka „twórczość” nie pochodzi z tych źródeł?

Wracając do opinii publicznej: byłem i jestem dotąd nałogowym palaczem, walczącym bohatercko od lat dwudziestu ośmiu ze straszliwym przyzwyczajeniem. Do pewnego stopnia można by mnie uważać w pewnych okresach za nałogowego pijaka, o ile za takiego (różne są standardy – wzorce) uzna się kogoś, kto urzyna się przeciętnie raz na tydzień, potem nie pije miesiąc albo i więcej i który miał jedną jedyną w życiu pięciodniówkę (à propos pewnej premiery scenicznej – okoliczność wysoce łagodząca) i do dziesięciu trzydniówek, i który nigdy nie chlał wody rano przy goleniu się. Ale nigdy nie byłem kokainistą – temu przeczę stanowczo, mimo że dla wielu perwersyjnych kretynów i to moje oświadczenie może

być właśnie dowodem za, a nie przeciw¹. O ile można by mnie nazwać okresowym pijakiem, „Wochensäufer”, na przestrzeni lat dziesięciu, to proponowałbym nazwę „Quartalkokainist” w okresie trzyletnim, i to z dużą przesadą. Dwa razy w życiu zażyłem kokainę na trzeźwo i zaraz postarałem się zapić to świństwo. Inne wypadki zażywania tego drogu (z czym się nigdy nie kryłem, podpisując rysunki robione w tym stanie odpowiednią marką Co) połączone były zawsze z wielkimi „popojkami à la manière russe”. Nigdy nie byłem morfinistą, mając idiosynkrazję do tego specyfiku (raz w życiu miałem zastrzyk minimalny i o mało nie umarłem), ani eteromanem, z powodu jakiegoś braku zaufania do eteru, mimo że używałem go parę razy w życiu: z wódką i przez wdychanie. Rysunki, owszem, były dość ciekawe i przy wdychaniu uczucie ginięcia świata i ciała, a potem „metafizycznego osamotnienia w przestrzennej pustyni” zabawne, ale jakoś to nie przemawiało nigdy do mego przekonania. Innego zdania jest dr Dezydery Prokopowicz, który opracuje w „dziełku” tym część eteryczną. Bohdan Filipowski, okultysta i długoletni nałogowy morfinista, zajmie się swoim ulubionym drogiem, na myśl o którym mnie robi się wprost zimno – tak straszne rzeczy przeżyłem wtedy w Petersburgu, gdy przez cztery godziny walczyłem ze śmiercią wśród torsji i zamierania serca. Tak więc stanowczo odpieram zarzuty

¹ Po napisaniu brulionu tej pracy przeczytałem niedawno w artykule, którego autora nazwiska nie pamiętam, a który dotyczył książek pani Żurakowskiej – właściwie całego artykułu nie znam, tylko ktoś mi pokazał takie zdanie (cytuje z pamięci) – coś takiego: „ani kokainowe wyczerpanie Witkiewicza, którego wybuchy nie są wybuchami”. Przede wszystkim, gdzie jest definicja ścisła pojęcia „wybuch” (w literaturze)? A po wtóre, albo autor tego artykułu jest człowiekiem głupim i nie wie, co robi, albo złym i programowo popełnia świństwo, pisząc takie brednie na podstawie plotek.

W każdym razie dziwię się redakcji „Wiadomości Literackich”, że tego rodzaju nieetyczny czyn literacki na swoich tzw. łamach toleruje. Oskarżenie kogoś w krytyce literackiej o nałogowy kokainizm (bo jakże zrozumieć to „wyczerpanie”) jest zwykłym oszczerstwem. Można oskarżać o wyczerpanie, ale to trzeba udowodnić, i to nie na podstawie głupich plotek.

co do nałogowego używania wyżej wymienionych preparatów, przyznając się do sporadycznego używania peyotlu i meskaliny, pierwszego wyrobu dr. Rouhier, a drugiej fabrykacji wspaniałej firmy „Merck”. Również przeczę przy sposobności, jakoby oddawał się homoseksualizmowi, do którego czuję wstręt najwyższy; jakoby żył płciowo z moją syjamską kotką, Schyzią (Schizofrenią, Isottą, Sabina, którą bardzo lubię, ale nic poza tym) i jakoby nierasowe zresztą kocięta z niej zrodzone były do mnie podobne; jakoby miał stragan portretowy na Wystawie Poznańskiej i robił dziesięciominutowe portrety po dwa złote (czego te dranie nie wymyśla!); jakoby był blagierem i rzucał się na kobiety przy lada sposobności; jakoby uwodził mężów żonom, chodził we fraku (nigdy nie miałem fraka w ogóle) na Giewont, pisał sztuki sceniczne dla kawału, nabierał i kpił, i nie umiał rysować. Wszystko to są plotki wymyślone przez jakieś obskurne baby, kretynów i idiotów, a nade wszystko przez draniów chcących mi zaszkodzić. Odpieram te znane mi plotki i z góry te wszystkie, które krążyć jeszcze o mnie w Zakopanem i jego przysiółkach będą. Szlus.

Jeszcze jedna rzecz: może kto pomyśleć, że piszę tę książkę dla autoreklamy. Otóż nie: będą tam opowiedziane rzeczy, które mi wcale zaszczytu nie przynoszą, a głównym celem jej jest uchronienie dalszych pokoleń od dwóch najpotworniejszych „ogłupjansów” (stupéfians): tytoniu i alkoholu, tym groźniejszych, że są one dozwolone, a szkodliwość ich niedostatecznie jest uświadomiona. Narkotykami „białymi” wyższej marki zajmuje się dziś elita ludzkości i te nie są tak groźne – to arystokracja narkotyzmu. Niebezpieczniejsze są te szare, codzienne, demokratyczne jady, na które każdy bezkarnie pozwolić sobie może.

Metoda moja jest czysto psychologiczna. Chodzi mi o zwrócenie uwagi na skutki psychiczne trucizn tych, skutki, które każdy, nawet początkujący, może już w miniaturze na sobie oglądać na długo przed tym, nim całkowicie opanowanym zostanie. Ja nie będę przed wami rozbijał jaj (kurzych) i wrzu-

cał ich do spirytusu, abyście zobaczyli, jak ścina się białko pod wpływem „przezroczystego płynu” (jak to czynił za mojej pamięci śp. książę Giedroyć); ja nie będę wam pokazywał w przezroczach zakopconych płuc i rozdętego serca palacza ani zdegenerowanej wątroby pijaka, ani zanikłego, wielkości piąstki, żołądka kokainisty – „ja nie będę grał Wam pieśni smutnej, o cienie, lecz dam tryumf dumny i okrutny...” itd. – chcę wam ukazać drobne psychiczne przesunięcia, które w ostatecznym swym rozwinięciu dają obraz zupełnie innych niż w punkcie wyjścia osobowości, duchowo zdeformowanych, pozbawionych wszelkiego tzw. „geistu” (słowo polskie „duch” nie oddaje tego, co niemieckie „Geist” i francuskie „esprit” – dryg, mknik, wyskrzyk, wyblask, wypęd itp.), siły twórczej i tego rozpędu w Nieznane, do którego konieczna jest odwaga i beztroska, zabijana systematycznie przez ohydny nałóg. Mnie od skutków nikotyny, od której dotąd całkowicie wyzwolić się nie zdołałem, uratowało to, że często i czasem na dość długo (kilka tygodni) przestawałem palić, tak że w sumie pół lub jedną trzecią roku faktycznie nie paliłem. Oczywiście działanie takiej abstynencji par intermittence nie mogłoby być tak korzystne jak wielkie ciągłe okresy wyrzeczenia się zupełnego – ale i to zrobiło swoje. Ale ci, którzy palą stale, a w 90% wypadków muszą palić coraz więcej, popełniają systematycznie duchowe samobójstwo ratami, nieznacznie, sami o tym nie wiedząc, pozbawiając każde przeżycie barw i blasków i niszcząc rzecz najcenniejszą: intelekt, za cenę przyjemności prawie żadnej. Bo czyż nałogowy palacz ma w ogóle jakąś przyjemność? Tylko negatywną – zaspokojenia wstrętnej, nienaturalnej potrzeby. Tak jest podobno ze wszystkimi narkotykami, o ile dany osobnik doprowadzi się do dostatecznie wysokiego stopnia znałogowania.

Jeśli młodzieńcowi lat szesnastu pokażecie wątrobę czterdziestoletniego alkoholika, przerośniętą i zdegenerowaną, czy przestanie pić na ten widok? Nie – zbyt daleko jest od niego ten rok czterdziesty, jest czymś niewyobrażalnym – wiem to z własnego doświadczenia. A zresztą każdy mówi: „E – czy

będę żył o kilka lat dłużej, czy krócej, to jest «ganc Wurst und Pomade» – chodzi o tę chwilę». A potem, jak przyjdzie te ostatnie pięć lat, których się taki nieszczęśnik lekkomyślnie wyrzekł i które mogą być mu faktycznie odjęte, to na głowie staje taki, aby przedłużyć to życie, którego w większej ilości wypadków przedłużyć już nie warto. Żyje potem taki osobnik po własnej istotnej śmierci, zidiociały, wewnętrznie, a często i zewnętrznie zniedołężniały, niezdolny do wydatnej pracy, zhipokondryczały, liczący tylko puls co pięć minut i zażywający tony lekarstw, które nie mogą już odrodzić zdegenerowanych komórek. Trzeba ukazać skutki psychiczne, doraźne, których powolnego postępu („schleichender Vorgang” – brrr! Strach!) nie każdy może zaobserwować, a szczególnie ten, co używa danego narkotyku stale, bez przerwy. Wyższe narkotyki dają wściekłe reakcje – zaraz widać ich szkodliwość. Chęć pokonania tych reakcji, a nie pragnienie pozytywnych skutków, jest często przyczyną popadania ludzi w nałogi. Nikotyna nie daje wyraźnej „głatwy” („katzenjammer”) i tym jest niebezpieczniejsza dla ogółu. Oddać się kokainie czy morfinie bez zastrzeżeń mogą w większości wypadków tylko osobniki już jakby predysponowane, degeneraci i tak niewiele co warci. Tytoń zaczadza, a alkohol spala powoli najlepsze czasem mózgi. Są tacy, co mówią: „Palę i piję, nic mi to nie szkodzi i doskonale się czuję” – oczywiście do czasu. Całe masy drobnych niedomagających psychofizycznych kumulują się powoli, ażeby potem nagle wybuchnąć w postaci zupełnie określonej choroby psychicznej lub fizycznej. Ale pomyśl, o osobniku nieszczęsny, jak byś świetnie się czuł, gdybyś tego wcale nie robił, jeśli organizm twój jest tak silny, że nawet przy ciągłym zatruwaniu go może jeszcze znośnie funkcjonować. Jakim byś był, gdybyś tego nie robił, nie dowiesz się nigdy. Szkody tej niepodobna zmierzyć i ocenić. Wiedzą o niej trochę ci, którzy przestawali i zaczynali znowu. Cóż bym ja dał, żeby odwrócić te dwadzieścia osiem lat palenia, i to z przerwami. A dziś, kiedy mi to szkodzi stokroć więcej niż wtedy, gdy miałem lat osiemnaście, jest mi również

stokroć trudniej rzucić wstrętny nałóg niż za „dobrych dawnych czasów”. A cóż musi się dziać z prawdziwymi alkoholikami i kokainistami, do jakich zaliczyć się mimo wielkiej chęci moich „wrogów” nie mogę – strach pomyśleć.

Tak więc zaczynamy: jutro jest bal, urzynam się i pojutrze koniec. Daleko łatwiej rozprawić się z nikotyną na tle lekkiej choćby „głatewki” poalkoholowej.

7 II 1930 r.

NIKOTYNA

Lew Tołstoj twierdził podobno, że człowiek, który nigdy w życiu swym nie zapalił papierosa, niezdolnym jest do prawdziwej zbrodni w całym znaczeniu tego słowa. Jest w tym zdaniu pewna przesada, bo wiadomo, że np. w Europie choćby na długo przed wprowadzeniem tytoniu ludzie mordowali się niezgorzej. Może dopomagał im w tym alkohol – czort wie – nie moim zadaniem jest pisać historię narkotyków całego świata. Zresztą – kiedyś nie było też alkoholu. Ale jak tylko daleko sięgnie się w dzieje ludzkie, zawsze na jakieś „omamy narkotyczne” natrafić można. Widocznie świadomość doprowadzona do pewnego stopnia wyostrenia nie mogła wprost znieść samej siebie wśród metafizycznej potworności Istnienia i czymś musiała łagodzić swą własną perspikację. Używanie narkotyków połączone było zawsze z obrzędami religijnymi, było częścią integralną różnych kultów. Religia i sztuka też były przecież kiedyś zasłonami dla zbyt okropnie jaskrawo świecącej z czarnej otchłani Bytu – Wiecznej Tajemnicy. Dopiero poczawszy od Grecji, rozpoczyna się pojęciowa walka z tajemnicą tą – walka, która musi skończyć się oczywiście porażką. My żyjemy w epoce wielkiego przełomu. Wszystkie elementy przeszłości i zarysowującej się przyszłości są w naszych czasach pomieszane. Sądzę, że na tle społecznego uspokojenia, do którego zdążamy, zbliża się czas końca wszelkich omanów, a z nim także

końca narkotyków. Dzisiejsza klęska narkomanii jest też ich ostatnim przedśmiertnym podrygiem na tle pomieszanego przeszłości z przyszłością. Ponieważ lepiej jest, aby coś już zgangrenowanego i niezdolnego do życia odpadło prędzej, chcemy niniejszą pracą przyczynić się do przyspieszenia tego procesu. Co dawniej było na miejscu, było czymś twórczym, dziś może być balastem utrudniającym skonsolidowanie się przyszłego ustroju ludzkości. Do takich balastów należą bezwzględnie narkotyki, jakkolwiek rola niektórych (nikotyny i alkoholu) może wydawać się pewnym ludziom na razie społecznie dodatnią. Mimo przesady w rzekomym zdaniu Tolstoja twierdzą, że nikotyna może być doskonałym wstępem do alkoholizmu i wszelakiego omamienia: stwarza pewien typ mechanizmu psychicznego, który daje się zastosować do każdego innego nałogu. Człowiek palący znajduje się już na tej równi pochyłej, z której w dowolną przepaść stoczyć się można, a na dnie której może znaleźć się i zbrodnia, nawet jeśli ku niej żadnych specjalnych predyspozycji nie było. Mało jest notorycznych pijaków, którzy by wcale nie palili. Pod pojęciem prawdziwego pijaka rozumiem kogoś stale, codziennie używającego alkoholu do końca życia – chyba jeśli strach przed śmiercią zabronił mu już w ostatniej niemal chwili przed wypełnieniem się jego życia używać zabójczego płynu i przedłużyć trochę w ten sposób zmarnowane w ogóle istnienie. Ludzie niepalący, a pijący, co – jak twierdzą – rzadko stosunkowo się zdarza, przestają zwykle pić w porę, przed czasem krytycznym, mniej więcej koło czterdziestki, i są w stanie dokończyć swych istnień we względnej jasności ducha. Przykładem klasycznym tego typu jest Boy, który przecie pisał kiedyś hymny pochwalne na cześć alkoholu, a teraz używa go czasem jedynie, w wypadkach prawdziwie wielkich uroczystości. Dlatego wydajność jego nie słabnie i ma on możliwość rozwoju wewnętrznego aż do końca dni swoich.

Jest w człowieku pewne nienasycenie istnieniem samym, nienasycenie pierwotne, związane z samym faktem koniecznym istnienia osobowości, które nazywam metafizycznym i które,

o ile nie jest zabite nasycaniem nadmiernym uczuć życiowych, pracą, wykonywaniem władzy, twórczością itp., może być złagodzone jedynie przy pomocy narkotyków. „Für elende Müsiggänger ist Opium geschaffen” – powiedział, zdaje się, ktoś. Pozorna sprzeczność tego twierdzenia z następnymi wywodami na temat „społeczności” nikotyny i alkoholu (o ile są używane w dawkach nieprzekraczających pewnych granic) w związku ze społeczną mechanizacją będzie wyjaśniona w dalszym ciągu. W ogóle dzielę narkotyki na p o z o r n i e społeczne i wyraźnie aspołeczne, ale – o tym później. Otóż nienasycenie to, o którym była mowa wyżej, a które polega na ograniczoności każdego indywiduum w Czasie i Przestrzeni i na przeciwstawieniu się jego nieskończonej całości Istnienia, nazwałem kiedyś uczuciem metafizycznym. Występuje ono w najrozmaitszych związkach z innymi stanami i uczuciami, tworząc różne z nimi amalgamaty, a opiera się o bezpośrednio daną jedność naszego „ja”, naszej osobowości. Może ono być jako takie motorem różnych działań i może nadawać specjalne zabarwienie czynnościom niebędącym bezpośrednim jego przejawem. Jeśli dominuje w psychice danego osobnika, jest przyczyną twórczości religijnej, artystycznej lub filozoficznej. Jeśli jest tylko podrzędną składową całości danej psychiki, może być powodem umetafizycznienia dowolnych sfer działalności odpowiedniego osobnika lub nadawać tylko specyficzny charakter jego przeżyciom wewnętrznym. Nie będę tu przedstawiał w skrócie moich poglądów filozoficznych i estetycznych. Ostatnie znalazły wyraz w książkach już wydanych: *Nowe formy w malarstwie...*, *Szkice estetyczne* i *Teatr*. Co do filozofii, możliwym jest, że ogłoszę niedługo podstawową moją pracę na ten temat. Na razie wystarczą może powyższe wyjaśnienia. Otóż twierdzę, że wszystkie narkotyki, tak „społeczne”, w początkowych i w małych dawkach, jak i aspołeczne, nasycają do pewnego stopnia wynikające z samej istoty Bytu, to znaczy z ograniczenia indywiduum: nienasycenie i tęsknotę, aby w dalszym działaniu przytępić te stany i zabić je zupełnie. Podobnie działają: religia, sztuka i filozofia, które

początkowo wyrażają na różne sposoby metafizyczny niepokój, łagodząc zasłonami konstrukcji uporządkowania uczuć metafizycznych w kultach, konstrukcji form artystycznych w sztuce i systemów pojęciowych w filozofii – okropność samotności indywiduum w bezsensownym Bycie, następnie, w związku z uspokojeniem społecznym, degenerują się i zanikają w miarę zanikania samego niepokoju, do czego same się przyczyniły.

Jeszcze jedna kwestia: kiedyś Debora Vogel (dr phil. i poetka) zarzuciła mi pewną niekonsekwencję w teorii historycznego rozwoju form artystycznych w związku z moim twierdzeniem, że uczucie metafizyczne, zdefiniowane wyżej, przeszedłszy punkt maksymalnego natężenia swego wyrazu, zaczyna w miarę uspołeczniania się ludzkości maleć, dążąc w granicy do zera. Dowodziłem tego na fakcie upadku religii, kończenia się filozofii w impasie negatywnego określenia granic poznania i rozwyrzenia nieprzekraczalnego form artystycznych. „Jakże więc zanik wyrażanej treści, jednej i tej samej w całej sztuce, tj. poczucia jedności w wielości samej w sobie – spytała perfidnie Debora – pogodzić z rozwyrzeniem wyrazu?”. Może niedosłownie cytuję jej słowa, ale coś takiego „rzekła”. Na to „odparłem” surowo: „Zarzut niesłuszny. Dawniej ludzie byli duchowo zdrowsi, mniej przyspieszeni życiem. Siły duchowe indywidualne mniej więcej pozostają te same, a siła społeczna rośnie, wymagając coraz większego natężenia ze strony indywiduów, które nie mogą nadażyć stawianym wymaganiom standardu pracy i wysiłku. Społeczeństwo pod każdym względem przerastać zaczyna zdolności swoich elementów co do wypełniania funkcji, które na nie nakłada. W sferze sztuki dawniejsi twórcy długo żarli materiał, długo go trawili i długo dojrzewały owoce ich pracy. Artyści przeżywali siebie w tworzeniu form spokojnych i wielkich, a widzowie i słuchacze mogli doznawać mocnych artystycznych wrażeń od dzieł prostych i pozbawionych elementu perwersji, tj. tworzenia harmonijnych całości z części jako takich w swym działaniu nieprzyjemnych. Dziś, kiedy uczucia podstawowe dla sztuki, związane z poczuciem

jedności i jedyności «ja», zanikają, artysta, aby wydrzeć z siebie moment metafizycznego zachwyty, musi spiętrzyć daleko potężniejsze środki wyrazu. Widz czy słuchacz, mając mały zapas uczuć tych do przeżycia, może doznać wyładowania jedynie pod wpływem dzieł szarpiących mu z dostateczną siłą nerwy. Do tego dołącza się kwestia zblazowania i wyczerpania środków artystycznych w miarę rozwoju sztuki, która już teraz dokładnie się przed nami zarysowuje. Dawniej artysta wyprzedzał mało swoją epokę, różnił się od poprzedników swych minimalnymi, w porównaniu do dzisiejszych czasów, zmianami koncepcji ogólnej i związanymi z nią deformacjami rzeczywistości i uczuć. W miarę uspołeczniania się ludzkości, postępującej mechanizacji i przyspieszenia życia artysta właśnie, jako ten osobnik wyspecjalizowany w kierunku bezpośredniego wyrażenia metafizycznych uczuć, musiał pod względem form ich wyrazu oddalić się od społecznego podłoża, którego pod względem życiowym jest funkcją. Stąd pochodzi wzrastający rozdźwięk między *p r a w d z i w y m i* artystami a organizującym się w formy przyszłości społeczeństwem i ograniczenie istotnego zrozumienia ich dzieł do małych grup zanikających osobników danego typu. Sądzę, że jasnym jest, dlaczego zanik uczuć metafizycznych prowadzi do rozwydrzenia form artystycznych, które jest końcem sztuki w ogóle na naszej planecie”. Ale dość o tym – nie brnijmy w zapomniane i nikomu niepotrzebne już teorie artystyczne. Otóż narkotyki z początku zastępują pewnym nielicznym osobnikom sztukę, religię i filozofię (mówię oczywiście o zdeklarowanych nałogowcach jadów wyższego rzędu), a następnie wyjaławiają ich pod tym względem – spotęgowanego przeżywania ich osobowości – zupełnie, niszczą ich kompletnie pod każdym względem, odgraniczając od społeczeństwa, zamykając w ich własnym niedostępnym świecie obłądnych przeżyć i deformując poczucie ich rzeczywistości do granic, poza którymi wszelkie porozumienie ich z normalnymi ludźmi staje się niemożliwe. Inaczej rzecz się ma z alkoholem w małych dawkach i nikotyną. Jady te przytępiają

zdenerwowanego współczesnego człowieka powoli, niszcząc w nim również osobowość, ale nie rujnując w ten sposób, aby niezdolnym był do spełniania mechanicznych funkcji w dzisiejszym społeczeństwie. Europa na tle jej starej kultury i zdegenerowanej ludności może by nie zniosła zaprowadzonej od razu prohibicji alkoholowo-tytoniowej na tle niewspółmierności życia z dogasającymi uczuciami metafizycznymi, które jednak przeszkadzają, jak mały kamyczek zabłąkany w tryby precyzyjnej maszyny. Ale małe początkowe dawki tytoniu i alkoholu, uspokajające w pierwszych fazach nałogu rozszarpane nerwy Europejczyków, muszą wzrastać, a przy tym wzrasta ciągle zupełnie niepotrzebnie ilość konsumentów w następnych pokoleniach, które przy odpowiedniej tresurze mogłyby się zupełnie inaczej uspokoić. Starsi zatruwają się coraz bardziej, czyniąc się przedwcześnie niezdolnymi do pracy, a młodzi za ich przykładem coraz wcześniej zaczynają pić i palić, przez co ztraca się nawet uspokajające znaczenie tytoniu i alkoholu, a czas kryzysu, to jest czas, w którym trucizny te zaczynają działać aspołecznie, przesuwają się w kierunku początku życia – następuje systematyczne skrócenie okresu wydajności ludzkiej i przedwczesne zużycie najzdolniejszych jednostek, jako obdarzonych subtelniejszymi systemami nerwowymi. Skutki ujemne niedługo przeważać będą nad dodatnimi, a wtedy będzie już pod pewnymi względami za późno – im dalej w przyszłość, tym gwałtowniejszy będzie szok reakcji w razie gwałtownej prohibicji, która okaże się czy prędzej, czy później konieczną. Wydaje mi się, że ludzie kierujący, zaślepieni w jednym kierunku: ekonomicznym, nie zdają sobie sprawy z wagi zagadnień psychicznych dotyczących poszczególnych osobników, których scałkowanie daje wysokie współczynniki w ogólnej sumie społecznej. Społeczeństwo kokainistów byłoby czymś wręcz potwornym – o tym wie każdy. Ale nie każdy jest w stanie pojąć, że w stosunku do tego, jakim byłoby społeczeństwo abstynentów narkotycznych, naród palaczy i umiarkowanych alkoholików jest proporcjonalnie również czymś strasznym. A w takich narodach obecnie żyjemy, jeste-

śmy ich elementami, nie wiedząc, w jak okropnej atmosferze przebywamy i jacy sami jesteśmy.

Na gwałtowne zaprowadzenie abstynencji mogą sobie pozwolić kraje względnie młode, których obywatele nie mają za sobą starej kultury i nerwów tak starganych jak ludzie powojennej Europy. Trzeba też brać pod uwagę stopień alkoholizacji i niktynizacji danego kraju. U nas zdaje się on wzrastać z każdą chwilą i dlatego sytuacja nasza jest groźna. Twierdzę, że ogólna walka z tytoniem i alkoholem powinna przejść krótki (np. dziesięcioletni) okres systematycznych ograniczeń, po czym we wszystkich krajach Europy, bez względu na związane z tym kwestie ekonomiczne, powinna nastąpić absolutna prohibicja tych dwóch straszliwych „assommoirów”, a zawiązania i straty stąd wynikłe zrekompensują się w bardzo krótkim czasie w związku ze zdrowiem psychicznym i wydajnością pracy obywateli. W stosunku do beznadziejnych nałogowców, to jest takich, którym w razie zaprzestania grozi śmierć, można by zastosować system rejestracji i wydzielanych porcji, który podcina od razu kontrabandę. Systemem tym wyteplili podobno Amerykanie kokainizm w pewnych stanach, a Japończycy opiumizm na Formozie. A zresztą nie moją jest rzeczą obmyślanie środków technicznych wykonania tego planu – ja ograniczam się do psychologii.

A więc nikotyna i jej ścisły pomocnik: czad węglowy (CO). Któż z palących nie zna cudownych i przykrych skutków pierwszych papierosów. Początek palenia przypada zwykle na okres „pierwszych miłości”, tzw. „weltszmerców”, czyli po prostu mniej lub więcej uświadomionych przeżyć metafizycznych, w ogóle w czasie pierwszej konsolidacji indywidualności w stanie embrionalnym, w której to epoce ludzkiego życia formują się charaktery na cały jego ciąg dalszy. Zasadniczym działaniem papierosów w tej epoce jest przytłumienie bezprzedmiotowej rozpaczy, a nawet złagodzenie różnych obiektywnych przykrości życiowych. Poza nieprzyjemnościami w rodzaju bólu głowy, mdłości (a nawet torsji) i niesmaku stan psychiczny

ulega przesunięciu od złości w kierunku niepozbowionej uroku, a nawet przyjemnej melancholii, przy czym występuje pewne intelektualne podniecenie i pozorna jasność myśli, połączona z łatwością pracy. I to jest prawie wszystko, czego można od papierosów oczekiwać. Działanie tego rodzaju trwa bardzo krótko – u niektórych parę miesięcy za ledwie – po czym zaczynają występować skutki ujemne, które przemaga się przy pomocy wzmożonych dawek jadu. Gdyby ci, którzy zamiast starać się wysiłkiem woli zmienić swój nastrój wewnętrzny i złagodzić okropność świata przez opanowanie rzeczywistości kawałek za kawałkiem, wiedzieli, co tracą na dalszych dystansach przez wymignięcie się z problemu przy pomocy użycia tytoniu, przeraziłoby się i rzucili natychmiast nałóg w stanie jeszcze załazkowym. Ocenic potworne zmiany zachodzące nieznacznie w strukturze psychicznej pod wpływem palenia mogą tylko ci, którzy nigdy nie palili w sposób ciągły i często przerywali to psychofizyczne świństwo, walcząc przynajmniej w ten sposób przeciw systematycznemu, zbyt prędkiemu podnoszeniu codziennej dawki ogłupiającego dymu. Jednak już w pierwszych stadiach palenia występuje zjawisko pewnej samoobrony organizmu, jako symptom poczucia upadku po każdym tytoniowym nadużyciu. Początkujący palacz zawsze ma wrażenie, że pali wyjątkowo, w związku ze specjalnymi okolicznościami, dla pewnych chwilowych celów, ale broń Boże, nie ma zamiaru stosować tego niecnego procederu na stałe. Zanim tytoń stanie się nieznacznie potrzebą każdej chwili dnia, używany bywa tylko w związku ze zdarzeniami wybijającymi się ponad codzienną szarą rzeczywistość: jakiś wieczór towarzyski, wyjątkowa umysłowa dyskusja, sytuacja, której spotęgowanie uroku wydaje się w danej chwili ważniejsze od zdrowia na całe życie, konieczność terminowego wykonania jakiejś pracy – wszystko to są rzeczy, dla których warto pozornie poświęcić dobre samopoczucie nazajutrz, brak fizycznego i duchowego wstępu do siebie i niesmaku, a głównie sprawność władz umysłowych. Ale nade wszystko nie zdaje sobie sprawy taki lekkomyślnik,

że każde poddanie się zabójczej dialektyce narkotyku zacieśnia mu pętlę na szyi, utrudniając wybrnięcie z matni, w którą często przez snobizm, tanie szukanie nowych wrażeń i całkiem prostą głupotę nierozważnie popadł.

Piszę obecnie na P po kilkudniowym NP i dlatego tak jasno widzę całą ohydę tego zjawiska: pozytywnie nie daje mi to absolutnie nic, jak i większości palaczy, poza czysto zewnętrzną przyjemnością: zaspokojenia mizernych apetyczników smakowo-węchowo-dotykowych. Wartość obiektywna dokonanej pod wpływem palenia pracy, poza złudną szybkością wykonania, będzie bezwzględnie niższa, jeżeli się weźmie pod uwagę wysiłek, który trzeba w nią włożyć w celu definitywnego wykończenia. Bo nigdy praca palacza nie jest doskonałą od razu: musi on potem długo i mozolnie „pipczyć” i poprawiać swoje dzieła, zamiast żeby od razu wyrzucić je z siebie w idealnej postaci, odpowiadającej pierwotnemu pomysłowi. I to stosuje się nie tylko do wytworów umysłowych, ale do wszelkiej wytwórczości w ogóle. Tylko w pewnych dziedzinach trudniej to sprawdzić: jest się miernym szewcem czy krawcem i koniec. Nie wie się, że to nadużycie tytoniu zatrzymało rozwój wewnętrzny i uniemożliwiło postęp techniczny. Miałem sposobność zaobserwować to dobrze na malarstwie, które łączy problem jasności umysłowej z problemem sprawności technicznej. Na większych okresach teza moja bezwzględnie jest sprawdzalna. Tylko nie każdy ma w kierunku tym doświadczenie i dostateczną zdolność introspekcji (samoobserwacji), a nade wszystko dobrej woli. I tak jakoś to będzie – mówi się i brnie się niepostrzeżenie w otchłań postępowego upadku.

Ale z początku nie jest tak źle, dopóki nieosiągnięty został punkt, w którym szkodliwość powiększenia dawki zaczyna rosnać w postępie geometrycznym. Coraz większa ilość narkotyku przestaje wkrótce działać jako „doping” – zaczyna się prawdziwa tragedia: już nic z siebie więcej nie można wydobyć, choćby się wypaliło sto pięćdziesiąt papierosów na dzień. Może ktoś w ogóle nie umie z siebie nic wydobyć – to inna kwestia.

Ale twierdę, że na sto wypadków takich u ludzi palących będzie dziewięćdziesiąt, których przyczyną jest zatrucie nikotyną i tlenkiem węgla, którego na tle niezupełnego spalania się tytoniu i papieru dużo musi być w dymie papierosowym. Oglupienie i ośpienie wzrasta z każdym zaciągnięciem się zabójczym dymem, a jednocześnie potęguje się niepokój. Najgorsze są uczucia sprzeczne – tytoń dostarcza właśnie najgorszą taką parę: powierzchownego podniecenia i niemożności zużytkowania go z powodu paraliżu wyższych centrów. Czuję to doskonale, pisząc te słowa, i w miarę jak będę dalej pisał systematycznie każdego dnia na NP, każdy z czytelników odczuje tę zmianę. A jeśli nie? To byłoby okropne – dowodziłoby, że zbyt już długo paliłem i że odzwyczajenie się bez wybitnie ujemnych skutków w samym początku abstynencji jest niemożliwe. Nie, po trzykroć nie – chodzi tylko o czas. Ale oczywiście jeżeli ktoś zacznie przestawać palić pod sam koniec życia, kiedy pod wpływem ciągłego palenia bez przerwy doszedł już do dawek zbyt wielkich, dla takiego nie ma już nadziei i lepiej, żeby skończył w oglupieniu, niepozwalającym mu przynajmniej widzieć jego upadku z całą jasnością. To są właśnie okazy dla rejestracji – brzydkie słowo i lepiej go w czyn nie wprowadzać. Mam wrażenie, że fakt, iż u nas, w Rosji i na Bałkanach tzw. „wielcy starcy” są taką rzadkością, ma swoje źródło w paleniu z zaciąganiem się. Ludzie u nas, passez moi l’expression grotesque, „wyprztykują się” przedwcześnie, tak w życiu, jak i w literaturze – powtarzają się co najwyżej w coraz gorszych wydaniach. Ale to zjawisko, żeby ktoś w pełni mądrości i środków – tak życiowych, jak artystycznych – dokonał jako przemądrzały starzec swych największych dzieł i czynów, to się spotyka w wyżej wspomnianych krajach rzadko. Przypisuję to bardziej działaniu palenia niż pijaństwu. Alkohol spala przynajmniej prędko swoje ofiary, niekiedy w sposób twórczy, przy bardzo szybkim potęgowaniu dawek. Zanikotynizowane „żywe trupy” błakają się czasem bezpłodnie bardzo długo, żyjąc tylko wspomnieniami dawnych dobrych czasów i sławą przeszłości, ale nie tworzą

przeważnie nic. Niemcy palą po większej części cygara, a cygarami rzadko kto się zaciąga, to jest wciąga dym do płuc, gdzie na wielkiej przestrzeni chłonnej resorbuje się olbrzymia część jadów w nim zawartych. Ilość nikotyny, którą wchłania błona śluzowa gardła i nosa, a przez ślinę żołądek, jest znikomo mała w porównaniu do ilości, którą mogą pochłoniąć płuca. Francuzi przeważnie nie zaciągają się wcale – zanikotynizowany Francuz należy do wyjątków. Chociaż trzeba przyznać, że ilość zaciągających się ludzi wzrosła po wojnie i w krajach zachodnich. Anglicy ratują się fajką, przez co może więcej trucizny wchodzi im ze śliną do żołądków, ale zaciągających się tzw. „synów Albionu” jest stosunkowo mało. My, Rosjanie i Bałkańczycy wszelkich rodzajów, nie mówiąc już o prawdziwym Wschodzie, wciągamy świński dym aż do pępeków i zatruwamy się o jakie 80% więcej niż ludzie Zachodu. U nas przeważnie człowiek lat pięćdziesięciu jest skończony. Ocalili się ci, którzy albo nie palili wcale (Boy np.), albo jak Żeromski i mój Ojciec, którzy przestali w porę palić w związku z chorobą płuc. I niech nie gadają optymiści, że „nam to nic nie szkodzi, my możemy sobie na to pozwolić”. Powtarzam: kto nigdy nie przestawał palić na czas dłuższy, nie wie, kim mógłby być, gdyby nie palił w ogóle wcale lub przestał zupełnie przed ostatecznym zagłupieniem się i dezorganizacją woli. Wiadomo, że przeważna część palaczy musi w pewnym okresie zacząć pić albo używać w dużych ilościach kawy lub herbaty. Wyjątki stanowią ludzie, którzy zmechanizowali się w jakiejś bezmyślnej robocie i nie mają już w stosunku do siebie żadnych wymagań. Alkohol bowiem jak i kofeina (teina okazała się po prostu kofeina) są najlepszymi antydotami na nikotynowe zagłupienie i mogą w pewnych granicach skompensować gnuśne uśpienie kory mózgowej, zaszczadzonej tytoniowym dymem. W ten sposób dochodzi się też do nałogowego alkoholizmu i kofeinizmu, które mają też swój kres dopingu i muszą doprowadzić do zjełopienia i rozkładu cielesnej karkasy. Można jeszcze pobudzić takiego osobnika do nagłych wyładowań w wypadkach wyjątkowych, ale jego co-

dzienne „rendement” zmniejsza się przy używaniu tych odtrutek z przerażającą wprost szybkością. Kofeina specjalnie zmusza do daleko szybszego przyrostu dawek niż alkohol i nikotyna.

Jeśli chodzi o prawdziwą przyjemność palenia, mają ją tylko palacze początkujący albo ci, którzy na skutek rzadkiej niezmiernie specyficznej właściwości: niezdolności do przyzwyczajania się do nikotyny, zachowali pierwotną świeżość wrażeń, ograniczywszy się do kilku lub kilkunastu co najwyżej papierosów dziennie. Prawdziwy nałogowiec, a takich wśród palaczy jest olbrzymia większość, pali jednego papierosa za drugim, zabijając natychmiast najlżejszą występującą potrzebę. Jest to czysto negatywna i niegodna człowieka przyjemność, polegająca na usuwaniu najmniejszej przykrości zamiast jej prawdziwego przezwyciężenia. W ten sposób powstaje właśnie ogólny psychiczny mechanizm, który z przyzwyczajania do każdego zadania z konieczności zastosować się daje: zamiast ataku wprost – obejście i wymiganie się z trudności raczej niż ich pokonanie. Doprowadza to do zaniku woli i stwarza gotowy typ reakcji w stosunku do innych podniet, prowadząc też tą drogą do alkoholizmu i wyższych „białych obłądów”. Każdą trudność życiową przezwycięża się na podstawie pierwszych doświadczeń dodatniego podniecenia coraz większą ilością papierosów, cygar czy fajek, aż w końcu osiąga się ten punkt graniczny, od którego począwszy żadna dawka już nie wystarcza i trzeba sięgnąć po inny środek albo też zadowolnić się niedoskonałym rozwiązaniem danego problemu czy niezupełnym przezwyciężeniem nadarzającej się trudności, bo do prawdziwego wysiłku woli i twórczości „z niczego”, jedynej istotnej, znałogowany do ciągłego przenoszenia trudności na zewnątrz, do liczenia na coś poza nim się znajdującego osobnik ten nie jest już zdolny. Zwykle początkujący palacze nie palą rano, oszczędzając najlepsze godziny dnia. Niektórzy zaczynają po południu, po pierwszym obfitym jedzeniu. Inni palą pierwsze papierosy dopiero wieczorem, kiedy zmęczony aparat odbiorczy nie jest w stanie samodzielnie przyjmować wrażeń i kiedy bez

sztucznego podniecenia nie jest się zdolnym do odczuwania radości życia i do istotnego przeżycia nadarzających się przyjemności. Zamiast po prostu pójść spać i odpocząć, ma się potrzebę użycia jeszcze czegoś po całodzienniej pracy, do której zmusza wytężone, wypięte do ostatnich granic nasze współczesne życie. Wtedy rozpoczyna się życie z kapitału. Ale czas palenia ma zdolność szybkiego rozciągania się od wieczorów ku południom i porankom. Potem obejmuje ranek od pierwszego śniadania, a następnie przychodzi palenie na czczo, a nawet w nocy, w przerwach od snu, i mamy do czynienia z osobnikiem, który szybko zdąża do zupełnego otepienia, zatracając w nim powoli poczucie tego, kim był, kim miał zostać i do czego był zdolny kiedyś, zanim zaczęły go „omamiać kłęby pozornie rozkosznego dymu”. Nawet bardzo zaawansowany palacz budzi się względnie czysty i zdrów pod wpływem nocnej przerwy. Kto nie przestawał nigdy palić, nie wie, jak cudownym jest dalsze przedłużenie tego stanu, aż do chwili wspaniałego zwycięstwa nad nałogiem, kiedy praca zaczyna iść lepiej niż w stanie zanarkotyzowania, kiedy wzmagają się wydajność, a stan bezpłodnego zdenerwowania, objawiającego się w niespokojnych ruchach, błędnie latających spojrzeniach i drgawkach niepewnych rąk, ustępuje miejsca poczuciu kierowanej czystą wolą siły. Tak – tak budzi się normalny palacz, o ile nie jest przy tym ciężkim neurastenikiem, dla którego początek codziennego dnia jest w ogóle czymś przykrym i trudnym. Wtedy marzy o pierwszym papierosie jako o czymś, co dopiero ma nadać pierwotną wartość zaczynającemu się porankowi. A potem z tumanem we łbie brnie już w ten codzienny dzień z rezygnacją kogoś, który wpadł w zębate tryby maszyny, aby dopiero pod wieczór przekonać się, że w ogóle „żyć można”. Ale nawet jeśli mamy do czynienia z tym wypadkiem najgorszym, to stany porannego przygnębienia dają się przy odpowiednim reżymie skrócić z dwóch, trzech godzin na dwie lub trzy minuty. Tylko, broń Boże, mając takie usposobienie, nie należy palić, bo ranna depresja zabita nikotyną podnosi znowu głowę koło po-

łudnia i trwa nieraz aż do późnego popołudnia, aby zmienić się we wzrastające podwieczorne podniecenie i „szał nocny”, uniemożliwiający wczesne zaśnięcie, co powoduje wzmożoną dawkę tytoniu. W ten sposób zmienia się drobne, chwilowe niedomagania w poważną psychozę, obejmującą cały dzień, a nawet dobę, i potęgującą się z latami w zupełną niezdolność do normalnego życia. Najbardziej podatnymi do takiego zaćmienia sobie istnienia są typy schizoidalne, fizyczni astenicy. Ale nawet notoryczni pyknicy przez działanie narkotyków ulegają „schizoidalnemu przesunięciu” albo w razie pomieszczenia materiału w danych osobnikach ich schizoidalna komponenta ulega znacznemu spotęgowaniu. Pyknicy są mniej podatni w ogóle na działanie wszelkich jądów, ale i oni zbaczają pod ich wpływem daleko od drogi przepisanej im przez ich psychiczną strukturę. Oni też tracą szalone ilości energii na przeciwdziałanie narkotykom, mimo że pozornie odhamowują się pod ich wpływem i są niby zdolni do jakichś nadzwyczajnych schizoidalnych czynów: do fanatyzmu w wierze, twórczości artystycznej formalnej i do tworzenia metafizycznych koncepcji. To wszystko jest błaga: pyknicy muszą być na swoich miejscach, a schizoidy na swoich. Schizofrenia dla schizofreników – zasada Monroe w psychologii i psychiatrii.

Ciekawym jest fakt, że palacz pałacy na czczo, co specjalnie szkodliwe jest na serce, żołądek i system nerwowy, mniej odczuwa doraźne złe działanie pierwszego papierosa niż mniej namiętny nałogowiec, zapalający po raz pierwszy po śniadaniu. Może zanadto zajęty jest przyjemną obserwacją chwilowego zniknięcia przykrego stanu, w którym się obudził. Ale już następnych parę papierosów daje mu poznać w miniaturze to, co się będzie w nim potęgować przez cały dzień, a następnie z dnia na dzień przez całe dalsze życie. Nienaturalne podniecenie wzrasta do południa. Jeszcze umycie się (i to porządne! – o czym mowa będzie w Appendixie) rozprasza trochę działanie jadu. (Przesąd, że wprost niepodobna ogolić się porządnie bez palenia, jako też, że niewykonalnym jest napisanie listu, usuwa

pierwszy eksperyment. Głupie narowy i tyle). Przy jednoczesnym dopingu, którego jednak nie udaje się zużytkować dowolnie w pozytywny sposób, wzrasta ogłupienie i pewne rozproszenie. Może to sprzyjać jedynie pracy mechanicznej, niewymagającej twórczego wysiłku. Dlatego twierdzą, że tytoń może być tolerowany jedynie w krajach o małym jeszcze stopniu mechanizacji i starej kulturze, gdzie ludzie mają specjalnie roztrzęsione nerwy, jeśliby chodziło o to, aby jak największą ilość ludzi ogłupić do tego stopnia, aby przestali być niebezpieczni i w tym ogłupieniu mogli automatycznie spełniać swoje funkcje. To ostatecznie przyjść musi w dalszym rozwoju społecznym na świecie całym. Ale działanie uspakajające tytoniu jest czasowe – możliwe jest tylko przy pewnej dawce, w pewnym okresie życia. Powiększanie dawki prowadzi do zupełnego rozstroju psychofizycznego i czyni palących niezdolnymi nawet do najgłupszej pracy – oni ją markują, ale nie wykonywują – odwalają, aby zbyć, nie dbając o istotną wydajność. Czy tym się nie da wytłumaczyć nasza przysłowiowa nieakuratność, niedokładność, samooszukiwanie się i lenistwo? Znam mechanizm ten dokładnie na sobie samym – oczywiście w miniaturze. Wiem, ile wysiłku kosztowało mnie utrzymanie się na standardzie pracy na P w okresach palenia – bo muszę przyznać sobie jedno, że nie poddałem się skutkom nikotyny. Ale po co utrudniać sobie życie lub obniżać jego poziom dla marnej przyjemności wciągania smrodliwego dymu i w dodatku dla ujemnych skutków psychicznych. Jeśli chodzi o wydajność na daleki dystans, to tytoń i alkohol w małych nawet dawkach zmniejszają ją znakomicie, dając złudne jej poczucie subiektywne. Dlatego widzimy w krajach młodszych, gdzie problem uspokojenia nerwowego na okres najintensywniejszej pracy (od dwudziestego do pięćdziesiątego roku) nie jest istotny, ten pęd ku prohibicji nawet pozornie niewinnych „społecznych” narkotyków. Dlatego w Europie nadużycia w sferze alkoholu (szkoda, że nie ma kar za przepalanie się) są karane, a umiarkowane używanie nawet popierane, jako dające dochód

państwu. Jest to polityka na „mały dystans”, z dnia na dzień, bez myśli o dalekiej przyszłości. Zamiast liczenia na „krótkie uspokojenie” obywatela (niech pocierpi jedno pokolenie z rozchlastanymi nerwami) trzeba by postarać się o to, aby obywatel ten mógł po mechanicznym przepracowaniu się odgiąć się i odprężyć w jakiś istotniejszy sposób, nie tracąc energii na głupstwa, magazynując ją raczej w celu podniesienia poziomu swej pracy. Ale ogłupiony alkoholem i tytoniem osobnik nie może sobie na to pozwolić – on, aby odpocząć, musi szukać jeszcze bardziej niż jego praca ogłupiających rozrywek, a ma ich pod dostatkiem: wyczerpane do dna i bez skutku starające się uartystycznic kino; radio jako „radiokręćcielstwo” lub co najwyżej jako uczuciowe narkotyzowanie się muzyką w sposób taki, w jaki czyni to wyjący „pod harmonię” pies bez doznawania głębszych artystycznych wrażeń, do czego konieczna jest istotna muzyczna kultura i muzyczne, a nie „wyjcowe” zrozumienie muzyki; chroniczny, beznadziejny dancing, ta najpotworniejsza z nieuświadomionych plag dzisiejszych społeczeństw; jeszcze najlepsza z nich: sport, który o ile by był trzymany w ryzach, a nie rozdymany do śmiesznych rozmiarów jakiegoś kapłaństwa, mógłby przynajmniej sprzyjać odrodzeniu fizycznemu, nie niszcząc przez swoiste zagłupienie wyższych zainteresowań ludzi młodych i zdrowych. A do tego jeszcze puchnąca z dnia na dzień codzienna gazeta, której przeczytanie stanowi jedyny „poważny” wysiłek umysłowy co najmniej 80% ludzkości. To jeszcze dobrze zaawansowany palacz wytrzyma, ale o zajęciu się jakąś intensywniejszą umysłową pracą po skończeniu zajęć zawodowych mowy być nie może. Coś go pędzi, gna, pcha i brutalnie wyrzuca z samego siebie i z domu. On musi gdzieś „zajść choć na chwilkę”, tam pogadać, tu niby coś ważnego załatwić, co wcale ważnym nie jest, tam posiedzieć musi, bo ktoś bez niego żyć nie może, co wcale prawdą nie jest, gdzie indziej znów ratować od czegoś kogoś, kto tego ratunku wcale nie potrzebuje itp., itp. Nieskończona jest pomysłowość palacza w kierunku usprawiedliwienia przed sobą ohydneho

zdeenerwowania, niepokoju i niemożności skupienia się – podaję tu skromne, najprostsze przykłady – proces ten może przybrać najróżnorodniejsze formy, zależnie od struktury psychicznej i życiowej sytuacji danego osobnika. Tysiące pretekstów znajdzie zatruty nikotyną, aby usprawiedliwić to wstrętne „gnanie”, które wywołuje w nim przeklęty bezpłodny jad. O prawdziwym skupieniu się mowy być nie może – praca odbywa się gorączkowo, jest pracą pozorną, a nie efektywną – zanikotynizowany człowiek udaje sam przed sobą, że pracuje, oszukując bezczelnie siebie i innych zewnętrznym czysto „szastaniem się” i „krzątaniem” – w istocie daje fałszywy towar za zmarnowane bezpowrotnie dary boże: czas i energię. Istotniej załatwi się to wszystko jutro, a każde jutro jest jeszcze gorsze. W ten sposób na marne idą wszelkie pomysły i projekty, unoszone ze śmierzdzącym dymem w sferę niewykonalnego, tzw. „niewykonabuł”. Po wieczornym mizernym „wstrząsie” występuje potrzeba czegoś silniejszego, jeszcze bardziej „assommant” – dancingi stoją otworem. A potem jeszcze długo w noc czyta się, paląc niesłychane ilości papierosów, głupie powieścidla, oryginalne i tłumaczone, którymi zalane są obecnie księgarnie, aby obudzić się nazajutrz z głową jak kubeł pomyj, z niesmakiem w ustach i niesmakiem do życia, który da się jeszcze pokonać nową porcją śmierzdzącej trucizny. I tak żyje się „jako tako”, z dnia na dzień, tracąc z każdą chwilą poczucie istotności wszystkiego, zamieniając się nieznacznie w bezmyślny, galaretowaty twór, niepodobny zupełnie do tego skonstruowanego indywiduum, którym się być mogło. Tymczasowość, duchowa krótkowzroczność, potęgujący się brak wymagań od siebie i innych, płytkość we wszystkim, poczawszy od filozofii, do koncepcji społecznych, poszukiwanie najlichszego towarzystwa, niewymagającego żadnego wysiłku umysłowego – oto właściwości cechujące prawdziwego palacza. Aby tylko dzień przewalił się jako tako, aby tylko wykręcić się sianem z trudnych zagadnień, aby tylko zamazać przed sobą niesamowitą grozę życia, wymagającą nateżenia wszystkich sił w celu istotnego podołania

straszliwym zagadnieniom, które ono stawia. Wszystko jakoś samo się załatwi. A pod maską ożywienia i ruchliwości – potęgująca się dosłownie za każdym pociągnięciem dymu z ohydneho zielska śmiertelna nuda i ponury onanistyczny bezwład, będący skutkiem natychmiastowego nasycania każdej chętki zagwazdrania sobie mózgu diabelskim czadem. Nieposzanowanie dla siebie tkwi na dnie tego wszystkiego. Jak człowiek świadomy tego, że z godziny na godzinę staje się coraz gorszym kretynem, może pozwalać sobie na lichą przyjemnostkę, która go skretynia, jest właściwie niepojętym cudem. Chyba że tego nie rozumie. Książka ta ma właśnie na celu otworzenie oczu tym, którzy giną przez nieświadomość, a nie przez brak woli. Każdy palacz jest ruiną tego, którym mógłby być, gdyby nie palił. Oczywiście daję tu przykład krańcowy na podstawie pewnych zjawisk zaobserwowanych na sobie, które wskutek częstego zaprzestawania palenia nie rozwinęły się w swej formie ostatecznej. Ale trzeba przyjąć, że z małymi wahaniami, na każdego, nawet na największego tytana, wpływa palenie w podobny sposób.

Jeden wytrzyma lepiej ten proceder, inny gorzej, ale mimo różnicy współczynnika nateżenia zmiany u różnych osobników będą jakościowo identyczne. „Hinter dieser glänzenden Fassade sind nur Ruinen”, jak mówi o „obumierających schizofrenikach” Kretschmer, którego książkę *Körperbau und Charakter* powinien znać absolutnie każdy człowiek względnie inteligentny. Może by nareszcie ktoś zdecydował się przetłumaczyć na polski to wspaniałe dzieło. Ale u nas zawala się rynek księgarski ohydną literaturą dla kretynów, tymi potwornymi kryminalnymi powieściami, od których nawet mędrsi ludzie idiocieją, a wartościowe rzeczy w literaturze całego świata starannie się pomija. Nie dość na tym: złudzone świetnymi rezultatami finansowymi obcych rekinów pseudoliteratury nasze rekiniątka też produkować zaczęły swoją cuchnącą tandetę, zapługawiając znakomicie i tak już konającą naszą literaturę. Tfu! – paskudztwo po prostu – „ot, butaforskie majaczenia”, jak mówił pewien generał.

Palacz przyzwyczajają się brać nienaturalne, bezpłodne podniecenie za stan twórczy, przestaje rozróżniać między istotą rzeczy a maską, traci wszelką zdolność wartościowania. Plugawe własne dowcipy bierze za najczystszy „esprit”, ekskrementalne spod ciemnej gwiazdy wymysły uważa za objawienia, a dupowate gędzenia za ostatni wyblysłk „causeurstwa”. Wymagania jego maleją i szuka tylko kupy durniów, wśród których mógłby jeszcze brylować swoim zaćmionym mózgiem, a towarzystwo ludzi wyższej marki nudzi go i męczy. Wszelki umysłowy wysiłek i skupienie staje się prawdziwą torturą i gnuśny, gnijący w śmierdzącym własnym sosie nikotynista śmieje się cynicznie z własnego upadku i myśli sobie: „E, jakoś to będzie. Żyjemy tylko raz. Po co sobie czegoś odmawiać? I tak jest mało przyjemności”, mimo że gdzieś na dnie duszy bełkoce w nim jeszcze, szczególnie w pierwszych stadiach zatrucia, tajemny głos o innym, lepszym życiu, które w sobie beznadziejnie zaprzepaścił. Stara się nie słuchać tego głosu i nienawidzi tych, którzy budzą w nim jakieś wątpliwości. Wiem, na co się narażam, pisząc te słowa, bo przecież 95% członków naszego społeczeństwa pali, a co gorsza, zaciąga się, a z tych znowu jakie 50% przedstawia albo bezmyślne automaty, albo lżejszych i ciężkich psychopatów – bo są tylko te dwa gatunki palaczy. Ale niech tam... Mnie już i tak nic nie zaszkodzi.

Jeszcze jedno: tytoń bezwzględnie odbiera odwagę. O ile na tle ogłupienia, które wywołuje, pozwala przeżywać względnie znośnie stany zbydlęcenia, wywołane np. więzieniem, okopową wojną, ciężką chorobą, bezmyślną pracą, o tyle odporność palącego na gwałtowne niebezpieczeństwa, wymagające tego charakterystycznego „wytwarzania siły z niczego” dla przeżycia chwil przechodzących codzienną miarę i dla racjonalnej obrony, jest bezwarunkowo mniejsza. Chyba że tak już ogłupiał, że w ogóle wszystko mu już jest jedno. Taki niech sobie pali do syta, niech się, psiakrew, zapali na śmierć i szybciej zniknie z powierzchni naszej planety, by nie plugawić swoim żywym trupem bądź co bądź pięknego chwilami świata. Mimo bredni

intuicjonistów i antyintelektualistów nierozumiejących słów, których używają i pokrywają nimi własne ubóstwo myślowe, jedną z niewielu największych i najpiękniejszych rzeczy jest chyba rozum ludzki. To jest truizm. I ten rozum niszczy systematycznie, otrzymując w zamian zszarzałą wizję świata¹, depresję psychiczną i ohydne zdenerwowanie, udające prawdziwą siłę i napięcie! A wy, baby – o rozum może wam nie chodzi tyle co nam, ale o piękną skórę, tak. Otóż wasze zamsze, aksamioty, brzoskwinie i alabastry zmieniacie na wyschnięte, brudne, pożółkłe szmaty. Może to wreszcie wam do rozumu przemówi, mimo że na ogół macie go mniej niż my. Nawet Antoni Słonimski, który nie uznaje definicji pojęć (patrz, jeśli chcesz, koteczku: słynna dla mnie polemika o *Sen srebrny Salomei* z Pomirowskim w „Wiadomościach Literackich”), krzyczał kiedyś: „Świat nie jest piłką footballową / Świat się zdobywa głową” – i tę to głowę zamieniać dla marnej przyjemności w bezładny bałagan i śmietnik, z którego nic nowego i wartościowego narodzić się nie może – okropność!! Dlatego wzywam rodziców, aby katowali dzieci zaczynające palić, jeśli inaczej do ich przekonania przemówić nie zdołają. Ale mają prawo robić to tylko wtedy, gdy sami nigdy nie palili lub palić przestali. Niech mężowie niepalący gnębią (do tortur włącznie) żony, które palą, a żony niech zatruwają (jak to one tylko podobno umieją) w maksymalny sposób życie mężów, aż póki wszyscy nie rzucą do diabła wstrętnego nałogu. Niech przyjaciele podniecają się wzajemnie w szlachetnym sporcie NP, tak mało u nas niestety rozpowszechnionym. Niech kochankowie – ale dość.

Teraz opowiem wam po kolei przeżycia tego, który palić przestał z dnia na dzień, ale niestety dopiero od jutra – bo te słowa piszę z parszywą „kumetą” w plugawym pysku, zatruty zupełnie, z trudem utrzymujący się przy tak stosunkowo łatwej

¹ Malarze, którzy przestawali palić, wiedzą najlepiej, jak działa nikotyna na ich wizję koloru, a nawet na pewność rysunku. Świat staje się po prostu ścierką, a linia rysunku traci swoją absolutną pewność, tę j e d y n o ś ć, która jest jej najistotniejszą wartością.

pracy jak pisanie tego „dziełka”, które tym niemniej powinno być przez każdego przeczytane i na wszystkie języki przetłumaczone. Tak, od jutra, od jutra – trudno. Ale zobaczymy, czy właśnie od jutra nie stanie się to prawdą i czy ja, Wielki Mistrz Czasowego NP, nie pokażę wam wyższej marki i czy nie przestanę od jutra palić na zawsze. I jeśli kto mnie z papierosem w zębach zobaczy, będzie miał prawo pomyśleć, że zrezygnowałem z przeżycia końca życia na najwyższym poziomie, na jaki mnie stać, że w ogóle zrezygnowałem z siebie. Nie będę mówił tu o takich rzeczach, jak: skleroza, przyśpieszenie starości i popsucie żołądka (à propos: ci, którzy twierdzą, że bez P porządnie się „wy-tego” nie mogą, niech spróbują jeść śliwki i robić gimnastykę Müllera, a zobaczą) – chodzi mi tylko o psychikę. Tamte wszystkie historie zostawiam specjalistom, ale oni też muszą przestać palić, aby mieć sąd obiektywny i doświadczenie. Aha – jeszcze jedno: niedobrze jest, nie zaznawszy nigdy błogosławionych skutków niepalenia po raz pierwszy w życiu przestać i koniec, bez żadnych manigansów – pierwszy raz w życiu, zaznaczam. Taki pan, co nigdy nie przestawał i przestanie nagle, nie będzie palił rok, dwa może najwyżej, a potem do palenia wróci i nigdy już nie przestanie. Znowu zacznie od trzech papierosów dziennie, a skończy na sześćdziesięciu lub stu, nie marząc nawet o powtórzeniu próby. Złe skutki papierosów widzi się (nawet w lustrze) i odczuwa jasno i dobitnie, o ile po trzy-czterodniowej przerwie zapali się na nowo. Poza czysto bydlęcą przyjemnością (czyż nie ma lepszych, do diabła starego!!) pierwszego, no, powiedzmy, trzeciego łyku smrodliwego dymu od razu występuje ten stan, który oprócz czysto fizycznych objawów (zawrotu głowy, sflaczenia łydek, ogólnego fizycznego rozmamłania, chęci pójścia gdzieś, smaku ohydnej spalenizny) jest próbką (Muster, échantillon) tych zmian psychicznych, które są udziałem każdego palacza, z tą różnicą, że przy takim przerywaniu krótkiej abstynencji ma on je podane w sposób skondensowany, a nie rozwleczone na przebieg całego życia. A więc przede wszystkim ten charakterystyczny żal: „po

co ja zapaliłem(-łam)?”. Za cenę wątpliwej przyjemności smakowo-węchowej (mamy przecież lepsze, psiakrew!) odczuwa się: zmaczenie myśli, odosobowienie (ale przykre), nieswojość i nieodpowiedzialność, brak decyzji w najmniejszej rzeczy, rozwiązanie samego pępka osobowości, osłabienie (wiadomo, czym są papierosy dla sportowców – kompletną zgubą, gorszą od alkoholu), a nade wszystko to specyficzne zszarzenie rzeczywistości, które znają tylko zapalający papierosa po kilkudniowej przerwie, ten zalew pospolitości i nudy, który można porównać do polania barwnego dywanu kubłem szarych i gęstych nieczystości. Życie traci urok momentalnie i wszystko powleka się krzepnącym szybko pokostem banalności, jałowości i zwykłości. Człowiek czuje się znękanym i brudnym, mimo że przed półgodziną wyszorował się szczotką Braci Sennebaldt z Białej i wesoły był jak ptaszek. Każda komórka zdaje się być oblepiona wstrętnym, śmierdzącym sosem – czymś w rodzaju tego klajstru ohydneho, który gromadzi się w długo nieczyszczonej fajce. Ratunku szuka się w drugim, trzecim i dziesiątym papierosie i po paru godzinach jest się na dnie zwykłego upadku i wspomina się tylko te kilka dni niepalenia jako pobyt w jakiejś cudownej krainie krystalicznych barw, ognia, zapachu, zadowolenia z siebie i najwspanialszych możliwości. A potem przestaje się nawet za tym tęsknić. Wraca palacz nieszczęsny jak biedny koń do kieratu do beznadziejnego kręcenia codziennego dnia, bez nadziei wybrnięcia, bez wyższych aspiracji (odwalić i odpocząć jak bydlę), bez możliwości postępu w jakimkolwiek kierunku, nawet w sferze swej mechanicznej pracy – jest skończony i przeważnie o tym nie wie. Ale gdzieś na dnie zostaje mu niejasne wspomnienie trochę męczących – to prawda – ale czystych chwil zmagania się z zabójczym nałogiem, kiedy to jeszcze mógł wybrnąć z matni. Zmarnował wszystkie jasne możliwości życia dla nędznego wciągania do płuc przetworów niedostatecznego spalania się demonicznego zielska z piekła rodem, słusznie tytoniem zwanego (Ty-toń!). Palacz zaczynający palić po dłuższej przerwie (od kilku miesięcy zacząwszy) nie

doznaje przeważnie wyżej opisanych objawów. Przeciwnie – ma znowu to rozkoszne podniecenie, w które popadł, zapaliwszy po raz pierwszy, tylko bez ujemnych objawów inicjacji we wstrętny, upadlający nałóg – bez nudności, bólu głowy i tym podobnych zjawisk. Myśli sobie: „Po co ja przestałem palić? Przecież to jest cudowna rzecz. Walmy dalej”. I nieznacznie, zaczynając od małych dawek, tylko zwiększając je w nierównie szybszy sposób niż wtedy, kiedy zaczynał, przechodzi do stanu normalnego, przeważnie beznadziejnego już palenia i postępującego z nim krok w krok zagłupienia. Nie ma on tych kryteriów dla ocenienia swego upadku co ten palacz, który choćby kilkakrotnie nawet przestawał i zaczynał znowu – nie czuje skutków ostrego zatrucia, które występują po krótkiej przerwie na tle silnych objawów abstynencji, wskutek braku antydotów wytwarzanych przez organizm. Ten, co zrobił krótką próbę lub kilka takowych, przestanie czy prędzej, czy później na całe życie. Wspomnienie cudownych chwil wyrzeczenia się nie da mu na pewno spokoju i grozić będzie w momentach nawet najlepszej zabawy widmem zmarnowanego beznadziejnie życia, które mimo wszystkiego, co przeciw niemu powiedzieć można, jest przecie jedno i jedyne. Dlatego ci, którzy przestaną i potem znów zaczną, nie martwią się tym zbytnio i nie przesadzają okropności swego upadku. Zdobyte w ten sposób doświadczenia umocnią ich tylko i w pewnej decydującej chwili zerwą z popełnianym systematycznie postępowym umysłowym samobójstwem na zawsze. Bo nie tyle chodzi o płuca, arterie, gardło, serce i żołądek, ile o mózg i system nerwowy, o rozum i jasną wizję rzeczywistości, bez których nawet płuca centaury i żołądek świni nic nie pomogą.

Dla zaprzestania palenia trzeba wybrać odpowiednią chwilę. Najlepiej nie robić tego (jak niesłusznie czynią niektórzy) w okolicznościach wyjątkowych: na wakacjach, w podróży czy bezpośrednio po zakochaniu się, a nawet po zaręczeniu. Powrót do normalnej codzienności przypomni zaraz o niedawnym jeszcze nałogu i zmusi do usprawiedliwienia pierwszej

niechęci do zwykłego życia uczuciem braku okropnego, w swej zdradliwości pochłaniania najlepszych władz ducha, narkotyku. Najlepiej jest przestać palić w ciągu spełniania najbardziej zwykłych codziennych zajęć. Można jeszcze co najwyżej uczynić to w sobotę lub wilię jakiegoś święta (byle nie przed Bożym Narodzeniem lub Wielką Nocą), aby jeden dzień mieć wolny dla przyzwyczajania się do nowego stanu. Pod żadnym pozorem nie trzeba przez kilka dni przyjmować wieczornych zaproszeń. Śpiączka zaraz po kolacji i niemożność prowadzenia normalnych rozmówek towarzyskich (brrr – co za ohyda!) są bardzo dogodnymi pretekstami do „zapalenia sobie jednego”. „Jeden przecie nie zaszkodzi” – bąknie skwapliwie jakiś palacz, który jak wszyscy nałogowcy lubi widzieć kuzyna, sąsiada czy przypadkowo spotkanego gościa, a nawet (a może właśnie w ł a ś n i e – kto wie?) przyjaciela w tym samym upadku, w którym on sam się znajduje. Stan bezpośrednio po przestaniu należy przeżyć w skupieniu, w towarzystwie najbliższych (na dalszych nie ma się co prawda nawet ochoty), bo stan ten (o ile się wreszcie za trzecim lub czwartym razem przyrzeczenia dotrzyma) nigdy już nie wróci. A nadzwyczajny to jest okres – tak jakby się zażywało jakiś nieznany narkotyk. Bo i tak jest zaiste. Organizm truty systematycznie zmuszony jest do wytwarzania jakichś anty-ciał do walki z zalewającą go trucizną. Zwolnione ze swych wstrętnych obowiązków te raczej przeciw-ciała (po co łączyć cudzoziemską przyczepkę z polskim słowem) szaleją same. Zatrucie tą antynikotyną jest tak przyjemne, że wynagradza po stokroć przykrości abstynencji. Trzeba się tylko wsłuchać w głos swych komórek i bebeczków, a nawet „psychicznych głębi”, a nie wmawiać w siebie, że żyć bez papierosów niepodobna, i nie jęczeć ciągle: „ja chcę palić, nie mogę mówić, pracować, nic mi się nie chce robić” itp. Należy mówić, robić coś, przeżywać tak właśnie, jak nakazuje dane usposobienie – należy je w swoisty sposób wykorzystać. A przede wszystkim co do pracy: w trzy do czterech dni występują już dodatnie skutki wyrzeczenia w związku z wydajnością roboty tak umysłowej,

jak fizycznej, a to, co się przez pierwsze trzy dni straci wskutek pewnej, nawet rozkosznej, niemrawości, okupi się latami całymi naprawdę „radosnej twórczości”, choćby to było nawet rąbanie drzewa lub rachowanie na maszynie. Ale trzeba stosować ten sam wysiłek co zwykle, a nie zwałać niechęci do jego wykonania na stan NP. (To samo stosuje się do stanu NII – niepicia). Wzrasta wskutek niepalenia sumienność wykonania wszelkich robót, jak również wynalazczość we wszystkich kierunkach, a stąd i ekonomia wysiłku. Wzrasta też apetyt i ilość potrzebnego snu – ale tylko początkowo. Cztery do pięciu dni można zreć, ile wlezie, a potem już łatwo opanować ten zdrowy zresztą instynkt organizmu, budzącego się do nowego życia. Wcale nie trzeba obżerać się tak intensywnie i tyć jak tuczona świnia, jak to niektórzy robią. W ciągu trzech tygodni kwestia odżywiania się jest uregulowana kompletnie przy minimum dobrej woli w tym kierunku. Tylko nie dać się opanować temu „zastępczemu” pozwalaniu sobie na wszystko inne, jako wynagrodzenie za cierpienia tytoniowej wstrzemięźliwości. Tej właściwości pozytywnie przyjemnej pierwszej fazy abstynencji nie mają, o ile wiem, inne narkotyki. Znam trochę (t r o c h ę, powtarzam, do stu tysięcy diabłów!) głód alkoholowy i ten jest jako stan psychiczny w pierwszym okresie bezwzględnie nieporównywalnie przykrzejszy od głodu tytoniowego. Wykorzystać należy ten stan wspaniały nie każdy potrafi, bo nie każdy umie słuchać głosu swego daimoniona. Dlatego na ten punkt zwracam największą uwagę. Wystarczy pójść na samotny spacer, aby mieć wszystkie atuty w ręku. I niech nie plotą pesymiści, że zdolność wykonania tego jest w związku z indywidualną konsystencją i że niektórzy nie mogą, i że „meine Wahrheiten sind nicht für die Anderen”. Wszystko zależy od nastawienia z góry. Niektórym poleca się zaprzestanie palenia po uprzedniej „popojce”, o ile już dawniej pić nie przestali. Jedno drugiemu pomaga znakomicie. Do drugiego śniadania mogą kropnąć już tylko jedną wódkę na NP, do wieczora piwo, a nazajutrz koniec ze wszystkim i stan cudowny, krystaliczny, wzniosły! Najlepiej

jest przestać palić od samego rana. Trzeba się przygotować na nieprzyjemne pół godziny – po umyciu się jest już dobrze. Ale nie każdy wytrzyma te pół godziny, które jest naprawdę przykre: trzeba w ciągu tego krótkiego czasu zwalczyć całą ohydę ranka, po uprzednim napaleniu się nocnym, bez pomocy papierosa. Można też palić do umycia się i przestać równo z umyciem się. Można i o dwunastej w południe, wyszedłszy na mały spacer, lub o piątej, a nawet siódmej wieczorem, ale to już tylko jako niejako przygotowanie do przestania rannego. Najlepszy jest jednak system od chwili przebudzenia się – z uprzednią „popojką” lub bez – wobec wielkości celu to nawet jest prawie że obojętne.

Zaraz rano występuje już pewne ożywienie zankylozowanych w jadzie komórek, i to nie tylko mózgowych i nerwowych, ale i całego ciała. Odczuwa się komórki tak, jakby koło odczuwało kulki w osi, świeżo wymyte i naoliwione. Przychodzą oczywiście z początku takie myśli, raczej myślowe wywłoki: „To jednak jest nonsens. Co mi tam! Będę palił i koniec. Żyłem dotąd tak – co ja będę sobie głowę zawracał jakimiś abstynencjami, które więcej może energii zabierają niż samo palenie”. Na takie myśli trzeba po prostu pluć – nie wolno wdawać się w najłżejszą choćby dyskusję z demonem narkotyku – wiadomo, że jego dialektyka, polegająca na zlekceważeniu czasu, musi być silniejsza. Tu wola, ta zwykła, prosta, nieskomplikowana, nudna czasem jak cholera wola, musi powiedzieć swoje: „Nie będę palił(a), choćby tam (gdzie, gdzie?) nie wiem co”. I wytrzymać. Już pierwsze wytrzymanie daje odskocznię do następnego. A dobry daimonion nie daje długo czekać na nagrodę. Zjawia się ona w postaci rozkosznego poczucia wolności i swobody i tej „igriwosti umá”, błyskotliwości umysłu, o której mówi Stefan Glass i ja też za nim. Energia psychofizyczna wzrasta z minuty na minutę i fale jej mijają się z falami zdrowej senności i zdrowego ogłupienia, i dzikiego apetytu. Żreć, ile wlezie, i spać, choćby co chwila – nic to. Dobra nasza – bonne la nôtre. Tylko nie zwałać całej poprawy na stan NP i prócz wy-

siłku zasadniczego, tego z zaciśniętymi „zęboma”, podpuszczać ciągle ten zwykły wysiłek codzienny, który się robi normalnie, aby podołać zwykłym zajęciom i obowiązkom. Najgorszy jest ranek następnego dnia po nocy, w czasie której śpi człowiek (ewentualnie „sprytne bydło w surducie”) z siłą czterdziestu susłów parowych. Nie chce się taki osobnik zbudzić z tą myślą, że rano nie czeka go rozkoszny pozornie „papirosik” ranny, na czczo lub po tzw. „kawusi”. Uczucie pustki i nudy zdaje się być nie do przewyciężenia. Poczucie nonsensu jest tak wielkie, że zapalenie tego „papirosika” wydaje się szczytem sensu w ogóle, czymś, bez czego świat jest nieznośnym chaosem, istnienie więzieniem, a życie, które podjąć trzeba, jakimś smrodliwym ciężarem. Zerwać się, nie myśleć nic, psiakrew, odwalić osiem ćwiczeń Müllera, choćby zęby pękały od zaciśnięcia, buch do tuby, metalowej misy lub łazienki (o tym osobno w Appendixie) i do roboty „wo czto by to ni stało”, „coûte que coûte” (tak zwane po rosyjsku „kutkiekutnoje rozpołożenie ducha”). Tak – przyznaję to: przychodzą tak straszne chwile poczucia bezsensu wszystkiego, nie tylko całego Istnienia, ale najnormalniejszego, najszcześniejszego, najbardziej bydłowego życia, że choć gryźć granity i popijać benzyną. Wytrzymać: godzinę, dwie, choćby trzy. Wypić mocnej herbaty czy kawy nawet, jeśli serduszko jest w portkach i puls spadł poniżej pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Nic to – zaraz będzie lepiej. Zaraz przyjdzie ten rozkoszny stan poczucia tego, że się panuje nad wstrętnym słabym bydłakiem w sobie, że się jest ponad nim, że się jedzie na nim jak na burej suce, ku niedosiężnym zawsze celom swego przeznaczenia, a nie gwazdra się, gwajdli i gwędoli pod nim z zaprzepaszczoną ludzką godnością i wolą w strzępach, jako nędzna ofiara podłego mechanizmu, nakręconego żółkłyimi łapami najpodlejszego z diabłów, tego „od nikotyny”. Coraz więcej będzie chwil takich i po pięciu lub sześciu dniach wahań, po okropnym kryzysie „bezsensowności Istnienia w ogóle”, na szósty (lub u niektórych na dziesiąty) dzień czuje się, że pierwsza podstawa jest zbudowana – że jest nieomal dobrze. Nie dać